

Damian Boguszewski – tropienie artysty

Między zniewoloną naturą realizmem a chorobliwie płynną abstrakcją artysta próbuje wywalczyć przestrzeń dla swoich wizji, a wizje te stoją w opozycji zarówno do realizmu, jak i abstrakcji.

Polecam wniknięcie w powyższe stwierdzenie, bo oddaje ono rzetelnie ten fragment drogi twórczej Boguszewskiego, po którym kroczy on dziś, jak zwykle pod sztandarem szlachetnego sceptycyzmu, ale z nadzieją na sceptycyzmu tego pokonanie – absolutnym orężem sztuki.

Oręż sztuki, istniejący tylko jako obiekt wyobrażony, wymyślony, skonstruowany może działać w świecie jedynie w ręku artysty. Zatem, choć nie dowiedliśmy tego, zakładamy, że Boguszewski jest artystą.

Jak wiadomo, artyście wolno więcej, niektórzy nawet twierdzą, że wolno mu wszystko. Nie przekracza zatem obszaru dozwolonego artyście poddanie w wątpliwość sztywnej, wydawałoby się, granicy między realizmem i abstrakcją. Lub inaczej – podzielenie świata sztuki (w tym przypadku sztuk plastycznych) na dziedzinę „abstrakcji” i dziedzinę „realizmu” wymaga dziś niebanalnej odwagi, bo co najmniej od epokowego dzieła Strzemińskiego (Teoria widzenia) podobno nie bardzo wiemy, co abstrakcją jest, a co realizmem. Boguszewski swoją wystawą przekonuje nas, że do tej zapomnianej dystynkcji na abstrakcję i realizm warto powrócić, ale powrócić podstępnie – z góry łącząc je wspólnym hasłem – tytułem – przesłaniem.

Jak przystało na twórcę współczesnego nie daje autor eksponowanych obrazów odpowiedzi, nie definiuje zjawisk, nie przekonuje o swojej racji – ale zadaje pytania. Stawia nas wobec wyboru – Realizm czy Abstrakcja – niczego nie sugerując, niczego nie podpowiadając, lecz skutecznie zagospodarowując dane mu pola obrazów zasiewem niepokoju. To bowiem my, odbiorcy stworzonych przez niego wrażeń, rozstrzygnąć mamy w swoim sumieniu, w swojej wyobraźni, w swojej nabożności czy frywolności – co abstrakcją jest w oglądanych obrazach, a co realizmem.

Siedzi oto w nieznanym lokalu panna w czepku, pozą, posturą i wyrazem twarzy naśladowująca obiekty malowane przez niderlandzkich mistrzów. Między soczewkami jej obfitych piersi połyskuje amarantowym napojem trzymana oburącz szklanka. Portret jest całkiem kubistyczny – twarz i postać opisano zestawem wielokątów i okręgów o wyraźnych konturach. Na kogo, lub na co patrzy ta Madonna obsłużona przez bufet, bo na pewno nie Madonna bufetu (o której śpiewał Kaczmarek)? Czy chce swoje wino wypić w samotności, rozważając kwestie ostateczne, czy też czeka, aby niewidoczna w ramie obrazu kumoszka zagadnęła ją o ostatnie plotki z rynku? Lub więcej – jaki jest ontologiczny status tej postaci – czy to kobieta kusząca roznegliżowanym dekoltem, czy tylko pobłysk dawnej sztuki, uosobiony kubizmem niderlandzki profetyzm i sarkazm? Czy to panna w czepku na wydaniu – czy raczej estetycznie wątpliwa nimfomanka, usiłująca zwieść malarza ponętym obliczem, aby za darmo zyskać nieśmiertelność? I kto tu stanie się nieśmiertelny – ona, obiekt – czy on, malarz?

W centrum innego obrazu kruk-sokół (który z nich – wybierz!) siedzi na ledwie widocznej podporze smukły i wyniosły, z drapieżnym dziobem, i milczy. Patrzy w prawo kubistycznie ostrym okiem szukając ofiary – lub sensu. Górna część jego tułowia na tle kolorowej kuli – czy to nie jest przypadkiem zaśmiecona cywilizacją Ziemia? Te plamy na kuli, oprócz wnoszenia kolorów w tło głowy ptaka, wiele mogą mieć znaczeń. Ale kulistość upomina się o odniesienie do planety – naszej planety. Kruk-sokół w brązach, czerwieniach, granatach, pomarańczach i ciemnych szarościach. W tle kuli i ptaka szaroniebieska, rozmyta, pulsująca czasoprzestrzeń. Pulsuje dosłownie – jak tęczowe kręgi Fangora. Komu nie pokazałem tego obrazu – oniemiał. Tło ucieka, rozmywa się – aktywnie. Nie patrzysz już na ptaka na tle kuli – patrzysz w nieskończoność, która unosi twój wzrok ku granicom płótna, ku granicom złudzeń zamierzonych przez mistrza. Obserwowanie ptaka na tle kuli wymaga nie lada wysiłku – trzeba przebić się przez wrażenie umykającego tła obrazu, zdaje się, zanikającego w niebycie.

Są jeszcze inne obrazy – sowa w kręgu połupanej kolorowej kredy, brew mściwej kobiety w granatowym labiryncie, żółte komórki światła zamknięte w gotyckiej konstrukcji wielopiętrowej katedry przywodzącej na myśl *Bibliotekę Babel* Borgesa, wreszcie mój ulubiony, wymarzona okładka książki Hrabala *Zbyt głośna samotność*, maleńki, czerwony prostokąt zamknięty niebiesko-granatowymi prostokątami imitującymi zgniatane w prasie makulaturowej książki, z dnem w tężowych barwach dążących ku ciemności.

Mimo tego, że artyście wolno dziś więcej, a może nawet wszystko, Boguszewski nie korzysta z tego dobrodziejstwa lekkomyślnie. Jeśli nawet mnie, odpornego od dawna na plastyczne sztuczki, zbałamucił do uważnego obserwowania jego obrazów, musi być mistrzem, lub co najmniej artystą.

Po obserwacji jego prac decyduję zatem autorytatywnie, że Boguszewski artystą jest. Czego należało dowiedzieć.

Robert Żebrowski